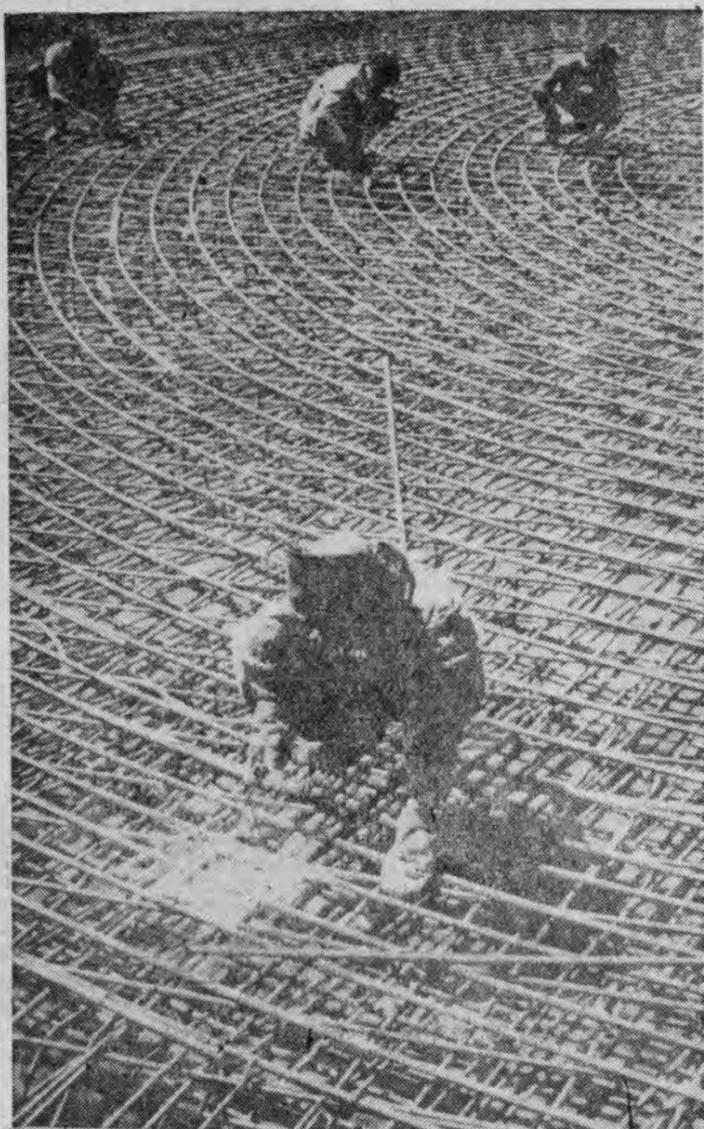


WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY



CAF — fot. OLSZEWSKI



CAF — fot. OLSZEWSKI

ELŻBIETA CIASTONIOWA

Cygański romans?

„Cygan jest wolny, on nie zna pana, gdzie okiem sięgnąć — wszystko Cygana!”. Słowa piosenki modnej w latach trzydziestych. W piosence wszystko było „cacy”. Ogniska pod lasem „byszczące z dala”, barwne stroje, tabory ciągnące polnymi drogami, pieśni i tańce, a przede wszystkim... swoboda, niezależność! Pozorny romantyzm krył prawdę o nędzy, krzywdzie, poniżeniu tego koczującego od niepamiętnych czasów ludu.

Wojna przeszła przez życie Cyganów jak krwawy cyklon. Tylko nieliczni wyszli z życiem z tej zawieruchy.

Znów rozpoczęły się wędrówki. Cyganki wózbami usiłowały zarabiać na życie, żebrały. Cyganie pobielali kotły, sprzedawali patelnie. Nieliczni zajmowali się procederem pozostającym w sprzeczności z kodeksem prawnym, przyczyniając się do ugruntowania opinii, która przed każdym Cyganem kazała zamknąć szczelnie drzwi. Któż z nas nie słyszał historyjek o koczownikach; sztuce przemalowywania koni, czarach i urokach? Kto wreszcie nie słyszał o niezmiernym bogactwie cygańskich rodów królewskich?

Tylko jednostki wkrótce po wywołaniu zerwały z wędrówkowym trybem życia. Większość pozostała wierna tradycji, zwyczajom. Często chyba wbrew sobie. Starszyzna cygańska umiała trzymać w ryzach, w bezwzględnym posłuszeństwie. Brak jakichkolwiek u d o k u m e n t o w a n y c h kwalifikacji zawodowych czynił nowy los bardziej niepewnym od dotychczas pedzonego trybu życia. Do tego dochodziła niechęć przejawiania przez część społeczeństwa polskiego i trudności tzw. aklimatyzacji. Pierwsze niepowodzenia kazały ponownie pakować manatki na wóz i wędrować dalej...

Dziesiątkowała ich gruźlica i tężyczka choroby. Analfabetyzm objął i starszych, i młodych. Rządzili się archaicznym prawem, kulturowali rzycczaje tak chętnie opisywane, które jednak z postępem cywilizacji nie miały nic wspólnego, a skazywały na nędzną vegetację.

Cyganie nie zostali pozostawieni sami sobie. 24 maja 1952 roku ukała się uchwała prezydium rządu zobowiązująca rady narodowe do niesienia wszechstronnej pomocy Cyganom przechodzącym na osiedli tryb życia. Niewielkie przyniosła rezultaty, skoro trzeba było do sprawy ponownie powrócić w marcu 1964 roku, podjął decyzję przyspieszającą proces osiedlania. W województwie rzeszowskim na stałe zameldowanych jest 65 cygańskich rodzin liczących ogółem 338 osób. Cyganie osiedlili się w powiatach Gorlice, Jasło, Debica, Nisko, Mielec.

Można by użyć wielkich lub „mocnych” słów, aby skomentować wrażenia, jakich przysporzyły rozmowy z wieloma Cyganami, wizyty złożone w ich siedzibach. Niech mówią jednak fakty. W powiecie debickim zajęto się Cyganami serdecznie, choć stanowili grupę niespodziewanych i kłopotliwych przybyszów. — Skoro koniecznie chcecie osiedlić się w naszym powiecie nie będziemy stawiać przeszkód — powiedział Franciszek Wanat przewodniczący Prez. PRN. Cyganie otrzymali do dyspozycji barak mieszkalny, mężczyźni zdołali do pracy — odpowiednie skierowania, dla dzieci w wieku szkolnym otworzono specjalną klasę, w której uczono je czytać i pisać, przeprowadzono masowe badania lekarskie, szczepienia ochronne, starcy i chorzy otrzymali odpowiednią pomoc.

(Ciąg dalszy na str. 2)

Tego dnia, 20 lipca 1937 roku, Jan Klocek, wiejski pamiętnikarz spod Kalembiny śliniąc koniec ołówka zapisał w grubym brulionie: „...Ludzi zebrała się chmara. Do Gogółowa zjechali ministrowie, dyrektorzy, jakiś generał i pluton granatowych, którzy kryjąc się w krzakach pilnowali bezpieczeństwa rządowych osobistości. Chłopów, kobiet i dzieci było chyba z siedem setek. Niektórzy pierwszy raz w życiu widzieli samochód...”.

Kilka dni wcześniej umyślnie pchnięty postanien z gminy przyniósł Walentemu Boroniowi pilny telefonogram. Długo stary Boroń obracał w rękę kartkę papieru z tajemniczymi literami, których ni w zęb nie rozumiał, jako że w piśmie i czytaniu biegłym nigdy nie był. Ponieważ goniec też tej sztuki nie posiadał, a jeden z synów Boronia, Michał, który akurat umiał czytać i pisać i w szkole od kilku już lat stróżował, poszedł do lasu po suche trzaski na podpalkę, stary udał się z całą nie mniej od niego wystraszoną rodziną do kierowniczkich szkoły, prosząc o przeczytanie na głos treści telefonogramu.

— Szczęściarzu z was, Boroń — rzekła kierowniczka, oddając chłopcu kartkę. — Sami ministrowie do was przyjeżdżają i nagrodę wręczają wam będą.

— Bogu dzięki — odparł Boroń. — A ja myślałem, że to w sprawie podatku. Długo jestem kilkadziesiąt złotych i komornik odgrażał się, że jak nie zapłacę, wsadzą mnie do ciupy.

— Na całe szczęście nie o to chodzi — kierowniczka położyła rękę na ramieniu Boronia. Każą się wam do tych odwiedzin odpowiednio przygotować. Macie być odświętnie ubrani, ogoleni, odpowiadać na pytania tylko „tak” lub „nie” i broń Boże o nic nie molestować. Panowie tego nie lubią.

Jakoż dygnitarze przyjechali, gdy w kościele kończyła się suma. Jeszcze książdz śpiewał „Te Deum”, kiedy ktoś rzucił z tyłu krótko „jadą”. Kto żył nie czekając na zakończenie nabożeństwa, przyklękawszy na kolano i robiąc w pospiechu znak krzyża na czole, pędził co sił przed chałupę Boronia, gdzie ciągnąc za sobą grubą workoc kurzu zatrzymali się cztery czarne i wytworne limuzyny. Sam Boroń dumny i wyprostowany stał na podwórzu w otoczeniu starosty, wójta i jednego syna Michała albo wiew dla żony, córki i dwóch dalszych chłopaków przyodziewku nie starczyło i schowali się na strychu, patrząc przez szpary w deskach na niecodzienne zbiegowisko. Stał więc

stary Boroń niczym żołnierz na baczność i spoglądał to na warczące samochody, to znów na nowe wisińnowe buty, które na konto tej nagrody wziął wczoraj od sklepikarza we Frysztaku.

Bezszelestnie uchylili się drzwi samochodów. Wójt, przygotowany wcześniej przez starostę, potrącając dziewczynki z kwiatami, podbiegł z kartką papieru, aby wygłosić przemówienie, lecz w połowie drogi został zatrzymany przez jakiegoś nieznajomego, który zniecierpliwionym gestem usunął go na bok mówiąc, że panowie są zmęczeni i życzą sobie, żeby ta cała ceremonia odbyła się jak najkrócej.

EDWARD WISZ

Historia jednego odkrycia

Z samochodów wysiedli: dwaj ministrowie, generał, dyrektor Wspólnoty Interesów, dziennikarze, fotoreporterzy.

Ludziom zamarił dech w piersiach. Jak świat światem, a Gogółów Gogółowem jeszcze takiej sensacji tu nie było i tylu dostojników, tyle samochodów wieś nie oglądała. Oddalona od głównego traktu, pozbawiona drogi, prądu, jak wszędzie podobne wsie w Małopolsce dusiła się od nędzy, nadmiar rąk do pracy i zbednych głów do jedzenia.

Ministrowie i generał wzięli Boronia między siebie. Trzaskają migawki aparatów fotograficznych, terkoczą kamery filmowe, padają pytania. Za kilka dni cała Polska będzie czytać o szczęściarzu i zarządem dobroczynicy z zapadłej podfrysztańskiej dzurzy, który teraz ścisła dionie dostojników i robiąc na żywe nie udziwnione miny patrzy prosto — jak mu każą — w wycelowane w niego obiektywy. Niech też cała

Polska wie, jak to przedstawiciele rządu bratają się z prostym ludem. Wreszcie następuje najbardziej chyba radosna chwila w życiu Boronia. Dyrektor Wspólnoty Interesów wręcza mu dziesięć nowiuteńkich stużłotowych banknotów. Wieś patrzy teraz na banknoty jakby zobaczyła samego diabła.

— Matko Boska, Józefie Święty — szepcze jakaś kobieta. — Tyle pieniędzy, tyle pieniędzy.

Boroń chce szybko schować banknoty do kieszeni, bo przypomniał sobie, że gdzieś w tłumie może być komornik, ale i ministrowie, i fotoreporterzy protestują, każąc mu je trzymać w wyciągniętej ręce nad głową.

Ścisła więc Boroń w garści banknoty, zastanawiając się w duchu co za nie kupi i omiatając wzrokiem tłum, który wyraźnie zardzościł mu i sławy, a przede wszystkim pieniędzy.

Należały mu się to fakt. I temu, i synowi, i żonie, która pilnowała, żeby wysłał te kamienie na Śląsk. A najwięcej chyba Michałowi, który miał nosa, przynosząc do domu ten papier.

Właściwie był to małych rozmiarów plakat, których kilkanaście sztuk dostała kierowniczka szkoły, Stanisława Grochowska, rozlepiając wszystkie na płotach i na murze kościoła. Jeden plakat Michał zabrał z sobą i odczytał w gronie rodziny. W ten oto sposób Boroniowie dowiedzieli się, że Polska już niedługo będzie potęgą, bo buduje COP i że w związku z tym potrzebuje dużo rudy żelaznej, której jeszcze sporo niedokrytej leży w ziemi. Kto więc znajdzie na polu nieznaną kamień i wyśle na Śląsk, Wspólnota Interesów Węgla i Stali w Katowicach wydeleguje na miejsce swoich przedstawicieli, i jeżeli okaże się, że warto w tym rejonie kopnąć szyby znalazca dostanie tysiąc złotych.

Tysiąc złotych to już był majątek. Nic więc dziwnego, że stary Boroń śnił po nocach i o sławie, i o fortunie, a w dzień chodził po polach, ścigał murawę i zbierał różne kamienie, porównując je z kolorowym rytmikiem na plekacie. Wspólnota Interesów, której nęcący apel był skierowany raczej do odbiorcy wiejskiego, zdając sobie z drugiej strony sprawę ze skandalicznego poziomu wykształcenia chłopów, na wszelki wypadek poleciła narysować spory kawał minerału w jego naturalnych barwach.

Pewnego razu Boroń konie na swoim polu znalazł kilkanaście ska-

(Ciąg dalszy na str. 2)



Polonia Caryńska

Fot. Z. POSTĘPSKI

Cygański romans?

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Na 52 osoby zamieszkałe w Dębicy, tylko 6 mężczyzn okazało się zdolnymi do pracy. Trzech pracuje w MRN przy robotach drogowych, dwóch w zakładach gumowych przyucza się zawodu.

W baraku zamieszkałym przez Cyganów — zaskakuje czystość. Obrzydnienie pierzyny, poduchy w kolorowych poszwach z falbanami stoją oparte o ściany. Naczynia kuchenne pozmywane, dzieciaki — czereda dzieciaków — czyste.

Wiesław Dolński pracuje przy budowie dróg. Przełożeni o jego pracy wyrażają się z dużym uznaniem. Rodzina Dolńskich zajmuje w baraku dwie izby. Można w nich znaleźć cygańskie zamiłowanie do piękna, do bajecznie kolorowego wystroju mieszkania, że nie stoi to w zgodzie z naszymi wyobrażeniami o estetyce — to już inna sprawa. I na to przyjdzie czas.

Dywany, kilimy na ścianach, wykładki z kolorowych czasopism, na środku pokoju telewizor. Dzieci Dolńskiego umieją już napisać list w imieniu sąsiadki — analfabekti.

— Mam zamiar — dowiaduje się w Prez. PRN — przydzielić Dolńskiemu mieszkanie w mieście. Zastępuje na to w pełni. Mam nadzieję, że zakłady, w których Cyganie dobrze pracować będą — postąpią podobnie. Utrzymywanie w jednym miejscu tak wielkich kolektywów nie sprzyja aklimatyzacji, wyodrębnia ich niejako z życia ogólnospołecznego.

To cenne chyba spostrzeżenie. Cienie? Cyganki wciąż wroczą, czasem jeszcze cygański berbecz pociągnie kogoś za rękę na ulicy i powie: „poproszę o złotówkę!” Na Cyganach, niestety, spoczywa główny ciężar utrzymania rodziny. O podjęciu jakiegokolwiek pracy zawodowej — kobiety ani słyszeć nie chcą. Przy 8—10 dzieciach trudno się temu dziwić.

W Mielcu jest podobnie. Mieszkania w barakach. Część mężczyzn pracuje w pobliskich zakładach, ktoś nawet dorobił się taksówki. Niektórzy mają telewizory. Często zdarzało się widzieć koksowanie niemowląt w takt twista płynącego z płyt.

— Całą uwagę skupiamy na dzieciach — mówi Rudolf Junikiewicz przewodniczący Prez. PRN w Mielcu. Chcemy im pomóc w zdobyciu konkretnego zawodu. Cygańskie dzieci są bardzo zdolne, pracowite, chętne do nauki, uzdolnione muzycznie.

Oglądam zeszyty Adeli, Jerzego, Stanisława Majewskich. Literki i cyferek równiutkie, starannie zaakragione. Ani śladu „oślich uszu”, ani jednego kleksa i ani jednego dnia opuszczonego w zajęciach szkolnych.

Małka Helena, młoda przystojna Cyganka — olinowała nauki. — Niech nie bada ślepe jak ja — mówi z żalem i rezygnacją. Ma już 5 dzieci. Najmłodsza czarna-włosa Bogusia jeszcze przy piersi, mać pracuje w WSK. Ona już o nauce myśleć nie może.

Była prądkowana, dwoje dzieci miało spędzić swoje pierwsze w życiu wakacje na półkolejnicach, tylko jak je ubrać?...

Rodziny cygańskie pozostające w potrzebie otrzymują systematyczną

pomoc finansową i rzeczową. Spod tego rodzaju opieki wyjęto jednak rodziny osób pracujących. Czy w każdym wypadku słusznie? Wielu Cyganów mających na utrzymaniu wielodzietne rodziny — stawia w zawodzie pierwsze kroki. Zarobki wraz z rodzinnym są b. małe. Przydałby się w takich wypadkach pewien „zastrzyk” na zagospodarowanie. Po co nawet sami Cyganie mają mówić, że czasem lepiej nie pracować tylko biadolić — wówczas łatwiej o grosz, paczkę żywnościową, odzież... Warto chyba na ten problem zwrócić uwagę również zakładom zatrudniającym Cyganów.

Na pochwałę zasługują Zakładowy Dom Kultury WSK Mielec, który przyczynił się do zorganizowania Cygańskiego Zespołu Artystycznego, i w dalszym ciągu śpieszy z różnorodną pomocą od instruktażu począwszy.

Tu także rozważa się możliwość stopniowego przekwaterowywania Cyganów do osobnych mieszkań.

W powiecie Nisko mieszka 10 rodzin cygańskich — razem 50 osób. Nie będę opisywać perypetii związanych z ich osiedleniem. Dość, że wreszcie „wylądowali” we wsi Warchoły, najmując izby w chłopskich chatkach. Miel mieszkać tylko przez zimę. Jakoś przetrwali. Mięsną wiosną, jest lato... Właściciele prywatnych domów usiłują się pozbyć uciążliwych lokatorów. Za wszelką cenę. Rozbierają kuchnie, aby nie mieć na czym gotować. Używają różnych innych sposobów.

A władza?... Prezydium PRN śle pisma do Urzędu Spraw Wewnętrznych Prez. WRN — domagając się zabrania Cyganów ze swego terenu. Jednego zatrzymamy: Tadeusza Kowalskiego, pracującego w tartaku. Pewnie tylko dlatego, że ma jakiś taki dach nad głową w Nisku, bo już nikt nie pomógł mu załatwić otrzymania zasiłku rodzinnego dla 7 dzieci, kwoty mającej niebagatelne znaczenie w jego budżecie domowym.

Prezydium PRN w Nisku nie poświęciło ani jednego posiedzenia problemom cygańskim. Zle pracuje — o czym świadczą fakty — powiatowy zespół koordynacyjny do spraw ludności cygańskiej. Nie próbowano poszczególnych rodzin osiedlić w Rudniku, Ulanowie, ani wejść w rzeczowe porozumienie na tematy zatrudnienia ze Stalową Wolą. W Nisku wędrują informacja kierownika gospodarki komunalnej, Bolesława Dula, oddano już do użytku 80 mieszkań, dalsze 32 przybędą jeszcze w br. — ale nie zagospodarowano ani jednego mieszkania dla Cyganów.

Mamy dość kłopotów ze „swolmi dziadkami!” — mówi B. Dul. Czy widział, w jakich warunkach żyją Cyganie w Warchołach? — Ja nie, ale mój pracownik widział... Zabierzcie Cyganów — żądanie powtarza kilka innych osób z kregu odpowiedzialnych pracowników Prezydium PRN w Nisku. Spychoterapia jak widać modna.

Nad samą rzeką, w pobliżu Rafinerii Nafty w Niegłowicach, w miejscu, obok którego codziennie przejeżdżają tysiące samochodów, pociągów, stoi podparty balami drzew stary cygański wóz, obok sklecona z lichych desek ruderka. Mieszkają tam Cyganie osiedleni około 5 lat... Władze powiatu i miasta Jasła mia-

ły zatem dostatecznie dużo czasu, aby tym kilku rodzinom cygańskim — stworzyć lepsze warunki bytu. Niczego nie można znaleźć na usprawiedliwienie tak nieludzkiej bezduszności. Wśród Cyganów koczujących nad kapryśną rzeką znajdują się starcy, osoby poważnie chore. W Rzeszowie zaś oddano do użytku Cyganów najbardziej ponoc zagrzybione mieszkania...

Do niedawna jeszcze osiedlaniem oraz przysposobieniem Cyganów do osiadłego trybu życia zajmował się wyłącznie Urząd Spraw Wewnętrznych Prezydium WRN.

Ostatnio powołano do życia Wojewódzki Zespół Koordynacyjny do spraw ludności cygańskiej z odpowiedzialnymi w powiatach. Cyganom przybyli więc nowi sojusznicy. Dotychczas poza wydziałami zdrowia i opieki społecznej, oświaty, zatrudnienia, wspomnianymi już urzędami i niektórymi prezydiami PRN — nikt więcej nie brał udziału w rozwiązywaniu wielu istotnych problemów towarzyszących normalizacji życia Cyganów. Ani Liga Kobiet, ani organizacje młodzieżowe (poza ZM ZMS w Mielcu), ani inni organizatorzy życia społecznego. A dalsza pomoc jest wprost niezbędna.

E. CIASTONIOWA



Historia jednego

(Ciąg dalszy ze str. 1)

mieniających brył, które wyglądem zupełnie przypominały rudę z obrazka. Ponaglany przez żonę, razem z synem Franciszkiem nabrali trochę kamieni do worka i wysłali na Wąsk.

Po kilku dniach do Gogołowa przyjechał sam dyrektor Wspólnoty — Kowalski, a w dwa tygodnie później cały sztab specjalistów. Widać badania były pomyślne, bo zapowiedzieli, że wkrótce tu przybędą.

I oto dziś stoi stary Boroń z synem w otoczeniu ministrów i generała, trzymając w zaciśniętej dłoni pilk banknotów.

Minister jeszcze raz podaje mu rękę i mówi głośno wazac każde słowo, żeby wszyscy słyszeli:

— Jesteście dobroczyńcą, Boroń. Sami nie wiecie, jaki skarb odkryliście i co to za szczęście dla tej okolicy. Za parę lat staną tu fabryki i kopalnie, pobudujemy nowe mieszkania. Znikną chłopskie strzechy, wystrzelą w górę smukłe kominy.

Ludzie w lot pojęli słowa ministra. Rzeczywiście, nie doceniali tego Boroń. Będą fabryki, będzie więc praca, będzie zarobek, będzie w każdej niedzielę miarę na stole. W wyobraźni już widzieli inną wieś, a w niej niby tych samych, a przecież innych ludzi. Widzieli murywane domy, syte i dobrze ubrane dzieci, powiększone morgi, a w stajniach i oborach ładny przychówek.

Korzystając z wolnej chwili stary Boroń, nie wahał się na ostrzeżenia zawarte w telefonogramie jał molestować dyrektora.

— Przepraszam pana wielmożnego, ale ja bym chciał pracować w tej kopalni.

— Oczywiście, będziecie pracowali, wy i wasze dzieci.

— I dzieci moich synów?

— I dzieci waszych synów.

Ale Borońowi takie słowne zapewnienia nie wystarczyły. Tak prosił, tak nagabywał dyrektora, że ten kazał wreszcie przygotować i podpisał kontrakt, w którym było zastrzeżone, że do trzeciego pokolenia włącznie wszyscy męscy potomkowie Borońa będą mieli zapewnioną pracę w kopalni.

W kilka godzin później na drugim krańcu Gogołowa, 4 kilometry w prostej linii od chałupy Borońa, w Stępinie, ten sam dyrektor ścisnął dłoń Józefa Armata.

— Oj, Armata, Armata — mówił dyrektor, mrużąc od słońca powieki. — Nie macie pojęcia coście dla kraju i narodu uczynili. Na waszym polu pobudujemy kopalnię. Macie tu, Armata, pięćdziesiąt złotych za wysianą rudę. Całą ziemię od was

odkupimy i dobrze zapłacimy. Za każdą morgę będziecie sobie mogli kupić dwie. A i pomnik wam zbudujemy, żeby każdy, kto obok niego przejdzie wiedział, że na tym cokole stoi człowiek, który przysłużył się ojczyźnie.

Armata znalazł rudę w podobnych okolicznościach, w jakich znalazł ją Walenty Boroń. Martwił się tylko, że dostał 50 złotych zamiast tysiąca. Wiele obiecywał sobie jednak po słowach dyrektora.

Nazajutrz wstał z łóżka, kiedy słońce nie wychyliło się jeszcze spoza pagórków i poszedł do hrabiego Jana Mycielskiego w Wiśniewej. Hrabia spał i przyjął go na werandzie dopiero po śniadaniu. Armata wyluszczył o co chodzi.

— Dobrze, Armata, sprzedam wam tę ziemię — powiedział hrabia. — Ale wiecie, tak na ładne oczy, to ja nie sprzedaję. Będą pieniądze, będą też morgi.

Czekał więc Armata na ponowny przyjazd dyrektora, aby dogadać się w sprawie tej ziemi.

Tymczasem w Gogołowie i Stępinie pojawili się górnicy i inżynierowie, którzy przyjechali ze Śląska. Na gwałt wierzono szyby, zdejmowano nakłady ziemi. Trzystu ludzi z Frysztaka, Gogołowa, Wiśniewej, Stępiny dzierżało lopatami i kilofami ziemską skorupę.

Drzwi od chałupy Borońa teraz się nie zamykały. Ten i ów przychodził do starego, aby mu pomóc w zdobyciu pracy. Ożywił się też na drogach, otwarto nowe szlaki, we Frysztaku w każdą niedzielę organizowano zabawy i festyny. Przyjeźdźni pozostawiali ładny grosz w chłopskich domach, płacąc dobrze za kociątki, masło, jajka i sery.

W biurze w Twierdzy pracował jako goniec syn Borońa — Michał. Pozostali synowie — Franciszek i Bronisław dzień w dzień szli przez pola do Stępiny, wyciągając tam ręcznym kołowrotkiem z dna szybów bagnisty szlam.

Po roku 12 wagonów rudy wysłano ze stacji Wiśniewa na Śląsk. Do zdzierania ziemi Wspólnota wprowadziła „bagier” wraz z Anglikiem, który po polsku nie rozumiał ani słowa. Koparka robiła co najmniej za dwudziestu ludzi. Akurat tyłu zwolniono wtedy z pracy. Wywołało to trochę zamieszania, ale pozostałym zależało na zarobku, dlatego milczeli.

Ponieważ Anglik przyjechał tylko po to, żeby wyczyć kogoś operatora, oglądano się za kandydatem. Wybór padł na Józefa Szablę. Jego kandydatura była najmocniejsza. Skończył kursy szoferskie, interesował się mechaniką, choć od lat bezskutecznie szukał pracy. Wszędzie wypominano mu jego chłopskie pochodzenie, żądano gwarancji w brzęczącej monecie, której nie mógł mu dać matka — służąca.

Uczył się więc Szabla nowego nieznanego zawodu, a każde słowo Anglika tłumaczył sprowadzony specjalnie w tym celu Władysław Cyrulik z Kobyla.

Tak więc dzięki Borońowi i Armacie Stęпина i Gogołów przeżywały swoją „gorączkę złota”.

★

Jadę z Instrukctorem KP partii ze Strzyżowa, Janem Zabrzyczym, tą samą trasą, którą pamiętnego dnia 1937 roku jechały limuzyny dostojników warszawskich i katowickich. Po obu stronach szosy mijamy świeżutki murywane domy. Tylko gdzieś widać poczerpniałe od słońca i deszczu wysokie czapy słomianych dachów. Oto i zmiany. Przypominam sobie, że na tym terenie do 1939 roku tylko dwa budynki były murywane. Dziś rocznie buduje się tu przeciętnie około 30 domów mieszkalnych, a w całym powiecie blisko tysiąc, nie licząc zabudowań gospodarczych.

Z otwartych okien, przystrojonych kolorowymi firankami dobiega nas głos spikera, który podaje poufne wiadomości. Tu i ówdzie strzelają ponad kominy anteny telewizyjne.

Jeżeli Rzeszowszczyzna była przed wojną Polska „B”, to Strzyżowskie należałoby zaliczyć co najmniej do „D”. Ani jedna wieś zelektryfikowana, ani kilometr drogi bitej. Same miasto otrzymało światło dopiero w 1955 roku.

Pewnie, że są jeszcze trudności, z którymi władze powiatowe bory-

odkrycia

kają się na co dzień. Od wielu lat czynią starania o zlokalizowanie w powiecie jakiegoś zakładu przemysłowego. Strzyżówkę znajduje się bowiem w tym położeniu, że ma największe nadwyżki siły roboczej. Obiecany zakład meblarski na pewno tej sprawy nie rozwiąże.

Ale w Strzyżowie podają również liczby, które mają swoją wymowę. Największa obsada bydła i trzody chlewnej na 100 ha w województwie, powiat jest też największym producentem jaj oraz posiada stosunkowo jeden z największych obszarów upraw roślin kontraktacyjnych. Widać to doskonale z okna samochodu. Na starannie wypielegnowanych zagonach rosną rośliny, które weszły na ten teren dopiero przed kilku laty. Tytoń, rzepak, buraki cukrowe, krzewy jagodowe, truskawki. I tak jest aż do chałupy Boroniów. Instruktor podpowiada, że w ubiegłym roku chłopię z tego rejonu wzięli za sprzedany tytoń blisko 5 mln złotych.

Na gospodarce Walentego Boronia siedzi teraz jego syn — Franciszek. Stary zmarł przed samymi świętami Bożego Narodzenia w 1955 roku.

— Co z kopalnią, co się stało z pozostałymi bohaterami tamtych dni? — pytamy.

Franciszek zaprasza na ławę pod rozłożystą gruszą.

Ojciec za pieniądze, które otrzymał od dyrektora Wspólnoty kupił pół morga gruntu i konia. A kopalnię po prostu diabli wzięli. Tuż przed samą wojną firma zwinęła manatki i przeniosła się w inne strony. Po wyzwoleniu przyjechali specjaliści, zaczęto coś robić, ale okazało się, że tej rudy jest tyle, co kot napłakał. Wystarczyłoby zaledwie na kilka wytopów dla średniej wielkości hut.

Michał skończył szkołę i jest dziś technikiem w hucie szczecińskiej. Dobrze mu się powodzi. Bronisław gospodaruje na swoim. Dochował się 7-mio dzieci. Dwie najstarsze córki wyszły za mąż i mieszkają na Zachodzie. Trzecia pracuje w „Rokicie” w Brzegu Dolnym. Czwarta zdała do ogólniaka w Strzyżowie, ale jej nie przyjęto z braku miejsca. Będzie próbować szczęścia w przyszłym roku. Reszta to drobiazgi.

Józef Szabla, były operator, zginął przypadkowo rozerwany przez minę w rejonie Dukli. W Prezydium GRN w Stępie pracuje jego córka.

Władysław Cyrulik, tłumacz, uczy w jednej ze szkół w powiecie krośnieńskim. Natomiast Józef Armata mieszka przy synu w Stępie. Mimo że idzie mu już ósmy krzyżyk, czuje się wciąż młodo. W tej chwili pomaga synowi przy budowie domu. Kiedy pytaliśmy o historię związaną z rudą, machnął ręką jakby odganiał zią muchę.

— Tamto, panowie, przemineło i jest dziś tylko wspomnieniem. To były wielkie plany pisane patykami na wodzie.

I chyba miał rację, prawda?

E. WISZ



Fot. MICHAŁ KOPEĆ

W tym tygodniu minie 21 lat od chwili, kiedy oddziały dwu korpusów radzieckich 1 i 3 armii pancernych gwardii oczyściły Przemyśl z faszystowskich okupantów. Z tej okazji drukujemy fragment pracy „Fastowska gwardyjska” N. G. Niersesjana, opowiadający o udziale 53 gwardyjskiej brygady pancernej w walkach o miasto.

Po zakończeniu 120-kilometrowego marszu — manewru 3 armii pancernej w rejon Jaworowa, Mościsk i Sądowej Wiszni, stanęło przed nią zadanie przecięcia niemieckim grupom drogi odciecznia ze Lwowa i nie pozwolić wrogowi umocnić się na rzece San w Przemyślu. Dowódca 6 gwardyjskiego korpusu pancernego otrzymał rozkaz opanować miasto i węzeł kolejowy Przemyśl, uniemożliwiając tym samym wyładowanie operacyjnych rezerw przeciwnika na stacji Przemyśl. Pozostałe siły armii odcinały drogi odciecznia faszystowsko-niemieckich oddziałów z rejonu Lwowa na zachód.

Czołowy oddział 53 brygady, działając wzdłuż szosy Medyka —

Przemysł z marszu opanował Medykę i ok. godz. 3 w nocy 25 lipca podszedł do rzeki Wiary na 3—4 km od Przemyśla, gdzie ostrzelany został ogniem artylerii i pociągu pancernego. W rezultacie walki zewnętrzny obwód był przerwany i oddziały nasze podeszły do wewnętrznego pierścienia na rzece Wiara.

czółgów możliwość zorganizowania manewru obejścia przez Karczmary, Łuczycę i wyjścia na wschodni brzeg Wiary.

Ale by kontynuować natarcie, należało szybko znaleźć bród. Poszukiwaniami kierował szef służby inżynierskiej brygady kapitan gwardii N. I. Osnas. Oficer — komunista

W wyzwolonej wiosce, radzieccy żołnierze odkryli niemiecki obóz — „szpital”, gdzie w okropnych warunkach znajdowało się 1500 radzieckich jeńców wojennych. Trudno opisać radość, jaką odczuwali ranni żołnierze i oficerowie, wyzwoleni przez odważnych czołgistów z ciężkiej niewoli.

Wyzwoliwszy swoich braci, bataliony brygady kontynuowały natarcie. Wróg stawiał silny opór, wykorzystując baterie dział i pociąg pancerny, starając się zatrzymać ruch brygady w kierunku Przemyśla.

Sforsowawszy San oddziały 6 gwardyjskiego korpusu pancernego w dalszym ciągu posuwały się w kierunku miasta. 3 batalion czołgów i fizylierzy 53 brygady w walce, 26 lipca podeszli do południowo-wschodniej części Przemyśla. 2 batalion czołgów pod dowództwem majora gwardii A. G. Korobowa otrzymał zadanie odciać drogi odciecznia wrogich oddziałów z Przemyśla. Pod koniec dnia po krótkiej strzelaninie batalionowi udało się owinąć Kruhelem Wielkim i przeciąć tym samym główne linie komunikacyjne na zachód od miasta. W rezultacie tego przeciwnik, odstępując musiał zostawić dużą część swojej techniki. Dowodzący armią, otrzymawszy wiadomość o położeniu pod Przemyślem wysłał dowódcę korpusu wskazówki jak działać, by szybko opanować miasto. Dowodzący pisał: „Czołgami miasta nie weźmiecie, ponieważ zaskoczenie nie udało się. Należy podciągnąć piechotę. Dokładnie przeprowadzić zwiad, szczególnie starannie określić najbardziej niebezpieczne punkty ogniowe, rozmieszczone wewnątrz miasta. Dla przeprowadzenia zwiadu wykorzystać zwiadowców — partyzantów, którzy dobrze znają miasto. Przesłać do miasta piechotę, fizylierów, partyzantów. Zorganizować walkę o miasto, wykorzystując całą moc ognia artyleryjskiego. Cały ciężar walki winien spocząć na piechocie i artylerii, czołgi można wykorzystać w jak najbardziej ograniczonej liczbie w składzie grup szturmowych (3—5 czołgów).”

Te wskazania dowódca korpusu i dowódcy brygad przyjęli za podstawę organizacji walki o Przemyśl. Nad ranem następnego dnia w rejon działających 53 gwardyjskiej brygady pancernej przybyła 22 gwardyjska brygada zmotoryzowana, podciągnięta artylerię i zorganizowano współdziałanie. Do południa w brygadach utworzono grupy szturmowe. W skład takiej grupy wchodził: pluton strzelców z dwoma cekaemami, oddział rusznicy przeciwpancernych, kompania moździerzy 82 mm, dwa działa kalibru 76 mm, grupa saperów z materiałem wybuchowym, wykrywaczami min, butelkami z benzyną, nożycami do cięcia drutu, dwa czołgi, dwa działa pancernie. Żołnierze plutonu strzelców uzbrojeni byli w automaty, granaty, pięćdziesiąt sztuk świec dymnych, granaty przeciwpancernie o działaniu kumulacyjnym. W ciągu popołudnia i do północy pro-

(Ciąg dalszy na str. 4)

JURIJ KURANOW

Głos wiatru

Prochor pasie krowy. Chodzi dokoła stada, nadsłuchuje. Wstanie, popatrzy uważnie w dal. Chmury niskie, długie gonią szybko. I jakiś głos widać się pod nimi. To zawoła albo coś szepnie, to się tylko oderwie z daleka. Puste pola i lasy chętnie ten głos przyjmują.

Prochor przystanie, pokręci głową i znów gderze: „Starego, starego tak mamić, to się nie godzi.”

W te dni wszyscy się rozglądają.

Jedzie mleczarz, podzwania bankami, lecz nagle zatrzyma konie i długo wsłuchuje się w las przydrożny: to jakby spadł liść, to jak gdyby ktoś tam chodził.

Kopią w polu kartofle. Ni stąd ni z owąd podnoszą głowy, długo patrzą w dal, albo w niebo: ani żurawi, ani czegokolwiek nie widać.

I ty sam, co rozglądasz się dokoła, chyba wiesz dlaczego wszyscy to robią.

Zapach jesieni

Spać na piecu tej jesieni i dobrze, i źle: pod bokiem ciepło i miękko jak w stogu, ale spróbuj się tylko poruszyć, a zaraz żyto wycie na podłogę, jakby wróble pobiegły po deskach. Zapach gorącego zboża bije z pieca na całą izbę — słodkawy, gęsty, mocny.

Ręce, ramiona, włosy pachną rozprzonym żytem. I kiedy w szkole zapytała nauczycielka:

N. G. NIERSESJAN

Z bojów o Przemyśl

Most na rzece był zerwany, drogi podejścia ostrzeliwane silnym ogniem artylerii i pociągów pancernych. Brzegi były zaminowane. Dlatego natarcie na wprost było utrudnione i groziło dużymi stratami. Należało szukać obejścia z południa.

Na rozkaz dowódcy brygady, 2 batalion czołgów, pozostawiając w rejonie Przekopanej, ogniem swoich czołgów i karabinów maszynowych, zwracając na siebie uwagę przeciwnika, dał fizylierom i 3 batalionowi

rozumiejąc ważność zadania, lekceważąc niebezpieczeństwo, pod ostrzałem przeciwnika wyszukał miejsca dogodnie do przeprawy. Pod przykryciem ognia własnych czołgów i moździerzy, saperzy brygady pod kierownictwem Osnasa zrobili przejście w polach minowych i dali możliwość zmotoryzowanemu batalionowi fizylierów szybkim rzutem pokonać rzekę i uchwycić niewielki przysiółek w rejonie Nehrybki.

Jako jeden z pierwszych przebył rzekę zwiadowca, szeregowy gwardii W. F. Gutakow. Prowadząc ogień z automatu zniszczył ośmiu hitlerowców. Ciężko ranny Gutakow walczył do ostatniego naboju, a kiedy Niemcy otoczyli go, by schwytać żywcem, ostatnim strzałem zadał sobie śmierć.

Przeciwnik niejednokrotnie przechodził do kontrataków, starając się odrzucić batalion do rzeki, ale musiał cofać się z dużymi stratami. Upór i wytrzymałość naszych żołnierzy dały możliwość przeprawy na zachodni brzeg Wiary także i trzeciemu batalionowi czołgów.

Fizylierzy śmiało atakowali Nehrybkę, w której wróg zorganizował punkt oporu. Kiedy do wsi zostało 300 metrów, zaczęły strzelać nieprzyjacielskie moździerze. Ze wzgórza na lewym skrzydle terkotał niemiecki karabin maszynowy. I wtedy właśnie wśród nacierających dał się słyszeć głos:

— Nasz czołg jedzie! Naprzód tarzawysze!

Rzeczywiście, ze skrzydła mknął szybko radziecki czołg. Była to maszyna porucznika gwardii W. I. Nowikowa. Najpierw zamilkło nieprzyjacielskie stanowisko kaemu, potem ucichła bateria moździerzy. Czołg sunął na czele fizylierów, niszcząc hitlerowców.

Wspólnym atakiem zdobyto wieś. Fizylierzy podchodzili do czołgu stojącego na placu, dotykali jego pancerza, zachwycając się męstwem nieustraszonej załogi.

Fot. JANUSZ WITOWICZ



NA WPROST

Piosenka w ogórkach

Lato sprawiło nam nie lada psikusa. Od kilku dni dopiero panują upały i to nie wszędzie. Dla nas, rzeszowian, słońce jest najbardziej kaskawe; kto wybrał się na urlop w Bieszczady, ten wygrał.

I chyba tylko na karb deszczu i chłodu możemy złożyć winę za nieurodzaj ogórków w prasie, radiu i bodajże telewizji też! Bo — proszę państwa — czy można nazwać lato sezonem ogórkowym, gdy „huczy wokół nas burza” o polską piosenkę?

Bombę ostrzegawczą przed sztormem i zalewem piosenkarskiej szmiry najwyżej wznosiła „Kultura” — poważny i szanowany tygodnik społeczno-kulturalny.

Za ten czyn odważny należą się słowa uznania, a zarazem życzenia, aby nie złożyła broni i z boju wyszła zwycięsko. A walka zapowiada się owszem, owszem... „Nie zamierzamy jednak skończyć sporu o kształt polskiej piosenki — czytamy w „Kulturze” z dnia 18 lipca.

„Kultura” poszukuje winnych z imienia i nazwiska, a owi — jak dotychczas — wcale się nie ukrywali. Wszystkim dziennikarom obecnym na Opolskim Festiwalu znane są nazwiska i organizatorów, i składu jury. Część prasy nazwiska te w swoim czasie też publikowała. Wystarczy zajrzeć cho-

ciażby do biuletynu prasowego Festiwalu. W nr 1 podano organizatorów, którymi byli Komitet do spraw Radia i Telewizji, Towarzystwo Przyjaciół Opola i Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Opolu. Na czele Komitetu organizacyjnego stanął we własnej osobie Włodzimierz Sokorski, a jego zastępcami byli przewodniczący Prez. MRN Henryk Tabor i przewodniczący TPO Karol Musiol.

Jako pierwsza — czytamy we wspomnianym biuletynie — zaczęła działać Komisja Artystyczna, w której skład weszli Edward Fiszer (Polskie Radio) jako przewodniczący i Witold Filler (TV) — zastępca przewodniczącego. Kierownictwo muzyczne spoczywało w rękach Tadeusza Wysockiego i Adama Wiernika. (Jeżeli mnie pamięć nie myli — to właśnie pan Witold Filler w „Kulturze” coś pisał o polskiej piosence!).

W biuletynie nr 3 natomiast podano pełny skład jury i instytucji artystycznych, jakie sobą przedstawiali jego członkowie. Dla przypomnienia: przewodniczył prof. Witold Rudziński z ramienia Związku Kompozytorów Polskich, a Związek Literatów Polskich reprezentował Jerzy Abramow.

A więc od początku dyskusji o polskiej piosence było wiadomo z kim rozmawiać i niepotrzebnie nadano jej posmaczku sensacji przez poszukiwanie „winnych”. A sprawa odsłonięcia kulis Festiwalu i chyba nie tylko opolskiego oraz dróg piosenki „w szeroki świat” — to inny rozdział! I tu wydaje się, że dyskusja przy okrągłym stole może wyjaśnić wiele sprawek i spraw. A może więc redakcja „Kultury”, która ma na swym koncie już niejedną sukces — właśnie taką dyskusję zorganizuje?

Takie „generalne pranko” zasadnicze, bez zbednego posmaczku sensacji, którą sprawa zaczyna nabierać, polskiej piosence może tylko dobrze zrobić. Na tym, aby polska piosenka była tak ładna jak tylko potrafi (a potrafi!), wszystkim jej miłośnikom, jak i miłośnikom muzyki polskiej zależy.

Bo dobra piosenka może być na prawdę „dobra na wszystko”. Może wreszcie przestanie straszyć „duch” „Bieszczadzkiej ballady”, w której „koń czuje siano woń”, a brrr...

M. C. GUZIOLEK



Rys. J. SIENKIEWICZ

JAN HAJDUK — kierownik DK WSK w Rzeszowie

Z bojów o Przemysł

(Ciąg dalszy ze str. 3)

wadzono zwiad. Najpierw poszła do miasta grupa zwiadowców dowodzona przez szeregowca gwardii W. P. Gorochowa. W czasie akcji Gorochow zauważył, że z naprzeciwką zbliżają się dwa niemieckie samochody. Podzielił grupę na dwie części. Pierwszy dowodził sam, drugą — szef gw. F. S. Dolidowicz. Zorganizowałyśmy zasadzkę zwiadowcy podpuścili samochody na bliższą odległość. Nagłym uderzeniem oparli jeden z nich. Zdobyto w nim cenne dokumenty. W rezultacie starcia zginęło 19 Niemców, a 2 wzięto do niewoli.

Na lewo od grupy Gorochowa działał zwiadowca A. N. Kostierin, który nawiązał walkę z 9 hitlerowcami. 8 z nich zabił, a 1 wzięł do niewoli. Dane uzyskane przez zwiad przesłano do sztabu brygady. Pomogły one zaplanować prawidłowo kolejne działania.

W nocy na 27 lipca szef sztabu brygady ppłk. gw. Kirilkin otrzymał meldunki, że sąsied z prawej strony — 25 korpus pancerny przeprawiwszy się przez San na północ od Przemysła w rejonie Dusowiec posuwa się na południowy-zachód celem przecięcia dróg odciecznia przeciwnika na północ i na północ-zachód. Meldunki te wymagały bardziej energicznego działania brygady.

Od rana kontynuowała ona swoje działania na południo-wschodnim skraju Przemysła, przesuując się od dzielnic do dzielnic. Z powodzeniem działał 3 batalion pod dowództwem kpt. gw. I. M. Mazurina, Śmiały i dzielny dowódca umiejętnie kierując walką osiągnął znaczne sukcesy. Jego batalion zniszczył 2 czołgi, 15 dział, 12 samochodów i blisko 200 żołnierzy nieprzyjacielskich.

Jednocześnie z ruchami czołgów, na rozkaz dowódcy brygady, na tyły wroga wysłano saperów kpr. gw. S. A. Wasiliewa i plutonowego gw. N. N. Razinkowa z zadaniem zniszczenia toru kolejowego, po którym kursowały pociągi pancerne. Saperzy doskonale wypełnili bojowe zadanie. Ryzykując życiem przeniknęli na tyły wroga i wysadzili w powietrze tor kolejowy. Pociągi pancerne nie mogły umknąć i następnie zostały zdobyte przez brygadę.

Jak zawsze, odważnie walczyła załoga czołgu por. W. I. Nowikowa. Podszedłszy do stacji kolejowej przyjął on nierówną walkę z niemieckim pociągiem pancernym. Celnie strzelał do wroga celowniczy działła plut. A. S. Winogradow, pomagał mu radiotelegrafista i celowniczy kaemu sierżant N. P. Kadynow, a mechanik kierowca Plewin umiejętnie manewrował, nie pozwalając nieprzyjacielowi uchwycić czołgu w celowniki swoich dział. Wkrótce pociąg pancerny zamilkł.

Bezpośrednio za czołgami, które posuwały się w kierunku stacji, ciągnęła bateria dział p-panc. pod dowództwem st. lejtnanta gw. W. G. Griszkowa. Niszcząc nieprzyjacielskie punkty ogniowe osłaniała ona ruch czołgów i piechoty. Szczególnie energicznie działał i pluton baterii dowodzony przez młodszego lejtnanta gw. K. S. Grebeniuka. W walce pluton ten zniszczył niemiecką baterię przeciwpancerną i moździerzy, umożliwiając tym samym podejście czołgów do stacji. Jednak niemieckie pociągi pancerne ostrzeliwały wszystkie drogi i podejścia. Wtedy Grebeniuk z jednym działem wysunął się na 400 m od stacji i z odkrytego stanowiska unieszkodliwił nieprzyjaciela, a następnie podparł transport z amunicją.

Podobnie umiejętnie i śmiało działali artylerzyści plutonu Grebeniuka — dowódca działła A. I. Biełan, celowniczy I. W. Dmitrienko i inni. Nie pozostawał w tyle pluton niszczycieli czołgów por. G. K. Gusejewa, w krótkim czasie niszcząc 2 punkty ogniowe zatrzymujące natarcie radzieckich fizyllerów.

Jedną z ulic wiodących do stacji jechał czołg por. gw. P. N. Czerno-

WIDNOKRĄG odpowiada

„NAUCZYCIELKA”. Nie chcemy wdawać się w szczegóły, o których Pani pisze, ponieważ większość z nich ma czysto plotkarskie podłoże. Natomiast co do oceny całokształtu współczesnej poezji nie zgadzamy się z Panią zupełnie. Jako nauczycielka pamięta Pani zapewne, że cytowani przez Panią romantycy byli w swoim czasie równie ostro potępiani i krytykowani, jak dziś współcześni twórcy... przez Panią. Nie brak co prawda obecnie poetyckiej tandety, ale tak w czambuł potępiać?

L. T. LAŃCUT. Wspomnienie o Wilhelmie Machu otrzymaliśmy zbyt późno, już po wydrukowaniu numeru „Widnokragu” poświęconego Pisarzowi. Ad meritum: ostatnie spotkanie autorskie, jak wynika z materiałów Biblioteki Wojewódzkiej nie odbyło się w Łańcucie.

WŁADYSŁAWA C. POW. JAROSŁAW. Z nadesłanego fragmentu pracy dyplomowej nie skorzystałmy, głównie ze względu na temat, który w pracy szkolnej może być pożyteczny, ale do gazety się nie nada.

wa. Wrażenie pocisk trafił w maszynę i czołg stanął. Należało jak najszybciej usunąć uszkodzenie, by nieprzyjacielskie armaty nie zniszczyły doszczętnie czołgu.

— Rzucaj świecę dymem! — rozkazał radiotelegrafista Czernow.

Czołg osnuł się dymem. Wydawało się, że pionie, Niemcy przerwali ogień, a w tym czasie mechanik-kierowca kapral W. F. Podgorny usuwał uszkodzenie. Po krótkim czasie czołg znów szedł do stacji niszcząc faszystów. Szybkie i nagłe działanie radzieckich czołgistów oszołomiło Niemców. Czernow podchodząc do stacji z marszu otworzył ogień do pocągów.

Jedne z pierwszych weszły do Przemysła czołgi plutonu młodszego lejtnanta gw. N. P. Sojanowa. Idący na czele czołgu, którego kierowcą był plutonowy F. G. Proszanow, spotkał 6 „Panter”. Umiejętnie manewrując Proszanow umożliwił załozce zniszczenie w nierównym boju 4 hitlerowskich maszyn. Młodszego lejtnanta Sojanow kierując walką prowadził jednocześnie ogień ze swojego czołgu, zniszczył 2 przeciwlotnicze karabiny maszynowe wroga, 2 moździerze, 2 samochody z ładunkiem.

W szeregach pierwszych pododdziałów brygady, które prowadziły walkę w mieście znajdował się zastępca dowódcy do spraw politycznych ppłk. gw. A. J. Zarapin. Osobistym przykładem zagrzewał on żołnierzy do bohaterских czynów.

Do godziny 12 27 lipca Przemysł był oczyszczony z niemiecko-faszystowskich najęddzów.

N. G. NIERSESJAN
Humacył: Witold Szymczyk

Album Tołkaczowa

W Kijowie wydany został album rysunków, które malarz radziecki Zinowij Tołkaczow wykonał w Oświęcimiu przed przeszło 20 laty. Tołkaczow, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Kijowie, znany i ceniony malarz, brał udział w minionej wojnie i był jednym z wyzwolicieli Oświęcimia. Pod wrażeniem tego, co zobaczył zaczął rysować na formularzach obozowych z nadrukiem „Kommandatur Konzentrationslager Auschwitz” lub „I. G. Farbenindustrie Aktiengesellschaft Auschwitz”.

Album Tołkaczowa wydany w Kijowie stanowi trzecią część cyklu poświęconego tematyce obozowej. Pierwsze dwa — „Majdanek” i „Kwatery Oświęcimia” ukazały się w Polsce w latach 1945-1946.

Warto tu dodać, że prace Tołkaczowa były wystawione tuż po wyzwoleniu w Rzeszowie. Była to pierwsza wówczas ekspozycja plastyczna w stolicy naszego województwa.

OPRACOWAŁA: K. S.

A u nas?

Łódzki Klub MPiK mieści się już w nowej siedzibie dysponującej czytelniami, salą odczytową z estradą, pomieszczeniami do nauki języków obcych i lokalami kawiarni. Osobny dział stanowiła pomieszczenia, w których prowadzona jest sprzedaż książek, pism reprodukcji dzieł sztuki i płyt.

Czytelnia i dział sprzedaży dzienników i czasopism dysponują obecnie zestawem liczącym 140 tytułów polskich, 88 radzieckich i 170 innych w różnych językach.

Wakacje Franciszki Sagan zaczęły się małą katastrofą. Kiedy w nerwowej atmosferze ładowania waliz na dworcu lyońskim do błękitnego expressu spostrzegła brak tej najważniejszej, gdzie sama pieczołowicie umieściła uporządkowany maszynopis swojej nowej powieści, zamieszanie związane z odjazdem na Południe dosięgło zenitu. Pomógł Bob — eksmąż; z energią roztrzącając tłum, wydobyl walizę od bagażowych, tuż, tuż przed ruszeniem pociągu...

Ta powieść jest szóstą z kolei Książka Franciszki Sagan i już 15 lipca autorka złożyła ją w Wydawnictwie Juillard, które przewiduje jej ukazanie się na rynku księgarskim w końcu października tego roku. Powieść jest duża, liczy około 400 stron — prawie powieść — rzeka i nazywa się La Chamade.

Co oznacza ten dziwny tytuł, nie do przetłumaczenia dosłownie? „La Chamade — mówi Sagan — to stary termin, którym określano dawne baterie hebnów; za ich pomocą okupant oznajmiał klęskę obleżonemu miastu...” Termin służy także do oznaczenia stanu ducha, kiedy człowiek staje się samotny, zagubiony, nieskończenie słaby...

System pracy Sagan uległ dziś dość widocznym zmianom. Kiedy miała 20 lat, miesiąc wystarczył na napisanie słownego „Witaj smutku”, obecnie mija rok odkąd zasiadła do pisania La Chamade. Nie wiadomo jeszcze czy mistrz walczy z trudnościami warsztatu, czy też pojął, że od udołkonienia go zależy rzeczywiste, autentyczne powodzenie pisarza?

o tyle znamenna, że w tym dniu zaczęła 31 rok życia!

La Chamade — to książka o kobiecie, jak zresztą wszystkie książki Sagan do tej pory. Jej główna bohaterka — Lucile ma także 30 lat i jak domyślają się wszyscy jest rozszerzonym portretem autorki. Lucile buntuje się przeciw ograniczeniom życia społecznego, protestuje przeciw ogłupiającej sennosci prowincji, z której wyszła i nie znajduje miejsca w świecie wielkie-

Pieniądz to wolność — czyli nowa książka Franciszki Sagan

go Paryża. Chce żyć samotnie, w słonecznym pejzażu, przyglądać się powolnemu mijaniu czasu, obcować z książkami, które kocha i myśleć o miłości.

Czyżby Franciszka Sagan śledziła po laury proustowskiej filozofii? Mówi przy tym, że temat, który porusza obchodzi ją samą żywo, bo napotyka wciąż na niezliczone trudności egzystowania w świecie pokrewnym jej zainteresowaniom, w świecie zmechanizowanych odruchów, tak często sprzecznym z ludzką naturą. Dodaje jeszcze, że nie kto inny, ale ulubiony Wiliam Faulkner, którego cytuje obszernie w swojej książce, powiedział, iż czcigodność świata mieszczańskiego czyni ludzi znużonymi, gwałtownymi i w końcu nikczemnymi.

Cały własny opór wobec środowiska reprezentuje w La Chamade Lucile — mieszcza, ukształtowana

przez prowincję, która jednak na teźe prowincji traci oddech, czuje się jak ryba bez wody.

Duże partie powieści toczą się w paryskiej kawiarni „Café Society”, którą snobi utożsamiają dziś z tym, co kiedyś nazywano „Tout Paris”. Tym, którzy próbują rozpoznać konkretne osoby z literackiego świata, Saganka przeciwstawia swoją niechęć do powieści z kluczem, protestuje przeciwko wszelkim szuflom i twierdząc, że tego typu książki są wynikiem braku wychowania!

I na zakończenie sugeruje, że La Chamade jest poszukiwaniem wolności, osobliwie rzecz wywodzącej z tyranii pieniądza.

„Ciężar pieniądza — mówi — to jedyna rzecz, która przeszkadza nam w osiągnięciu wielkości. Pieniądz jest naszym tyranem. Wystarczy popatrzeć na innych ludzi: czy mają dziś ważniejsze kłopoty na głowie? Zresztą pieniądze mają jednak dominujący wpływ na tych, co je posiadają w nadmiarze, jak i na tych, którzy ich nie mają w ogóle.

Oczywiście, że nigdy nimi nie pogardzał, bo ich brak przynosił mi zawsze straszliwe przykrości; nigdy też ich nie nienawidziłam, bo od nich, moim zdaniem, zależy w istocie nasza głęboka, biologiczna potrzeba — być wolnym...”

Oto zasadniczy problem, wokół którego toczy się akcja La Chamade — pieniądz to wolność!

Teoryjka dość oryginalna i trzeba przyznać, niewielu pisarzy miało odwagę, czy też ochotę, postawić sprawę własnej twórczości w ten sposób. Miejsmy nadzieję jednak, że ostatnia powieść Franciszki Sagan, tak bardzo osobista i szczera, będzie nieco lepsza od pierwszej, która autorce przyniosła sławę, była filmowana, dostarczyła wiele owych pieniędzy, które są wolnością, ale nie postawiła jej niestety obok drugiego pisarza, który przeszło przed wiekiem miał identyczne obsesje finansowe — pana Honoriusza Balzaka.